

Na tropie



STEFAN GRABIŃSKI

NIESAMOWITA OPOWIEŚĆ

Na tropie

Obudziłem się z głową ciężką jak ołów, śmiertelnie znużony. Spojrzałem na zegar: była 12 w południe. Spałem dziś niezwykle długo.

W całym domu cisza skwarne południa, senne odrętwienie lipcowego upału. Byłem sam. Stary Jan wyniósł się gdzieś jak zwykle do sąsiadów na poobiednią fajeczkę, zostawiając mnie na łasce opatrznosci.

Z niewymownym trudem podłożyłem ręce pod głowę, wlepiając wzrok w sufit. Jakiś potworne wyczerpanie zawiesiło mi u nóg i rąk gigantyczne ciężary i nie pozwalało dźwignąć się z otomany¹.

Cofnąłem się pamięcią do dnia poprzedniego, lecz nie znalazłem nic, co by mogło wywołać to iście homeryczne rozluźnienie członków. Dzień upłynął mi spokojnie na podmalowaniu pejzaży; wieczorem przy blasku księżyca odbyłem małą przechadzkę po mieście, po czym koło 10 poszedłem spać. Oto wszystko.

Więc nie tędy droga. W tym tkwi coś innego. A mozem ja chory? Lecz skądżeby znowu?

Wzrok oderwany od mozaiki stropu mimowolnie padł na stalowy ekran, wysunięty na środek pokoju. Był to mój hipnoskop. W chwilach wolnych oddaję się studiom z tak ciekawej dziedziny jak hipnoza i doszedłem już do dość obiecujących wyników, zwłaszcza w zakresie samousypiania. Wystarczy mi zarzucić parę skupionych spojrzeń w głąb ekranu, a natychmiast zapadam w sen, z którego budzę się o godzinie z góry przez siebie naznaczonej.

W ostatnich jednak czasach zaprzestałem doświadczeń, zauważywszy, że wpływają rozstrajająco na mój organizm, gdyż budziłem się jakiś nieswój i jakby odkształcony.

Mimo to widocznie wczoraj coś mnie skusiło po dłuższej przerwie do podjęcia eksperymentu. Tak przynajmniej kazała przypuszczać pozycja ekranu na środku pokoju; zwykle bowiem stoi pod ścianą.

Dziwiła tylko jedna okoliczność. Nie mogłem w żaden sposób przypomnieć sobie, czy istotnie wczoraj wieczorem zaglądałem w hipnoskop. W każdym razie musiało to nastąpić już po powrocie z przechadzki, więc po dziesiątej w nocy. A przecież ostatnim faktem z ubiegłego dnia, jaki mi pozostał w pamięci, była chwila zdejmowania zarzutki, którą zawiesiłem na stojaku. Co się potem stało, nie pamiętam. Prawdopodobnie przyszła mi skądś ochota do autohipnozy, nie omieszkałem jej zaspokoić.

Wszystko więc było wyjaśnione i powód znużenia poniekąd zrozumiały. Chodziło tylko o to, o czym właściwie śniłem i co się ze mną w tym czasie działo. Tu irytowała mnie zawsze szczególna niepamięć, jaka omotywała mi mózg po zbudzeniu się: nigdy nie mogłem sobie niczego przypomnieć.

A perypetie autohipnozy musiały być czasami nader zajmujące. Przekonałem się o tym naocznie w dziwny, przypadkowy niemal sposób.

Pewnego dnia, zbudziwszy się nad ranem, spostrzegłem ze zdumieniem na rusztowaniu przy sztalugach kadłub jakiegoś starego posągu. Kamień był już miejscami zwietrzały i porysowany, mimo to znać było jeszcze ślady mistrzowskiej ręki w bajecznie rysujących się liniach torsu. Nie mogłem zrazu absolutnie dociec, jaką drogą ten fragment dostał się

Sen, Siła, Duch, Ciało

¹otomana — rodzaj niskiej kanapy z wałkami po bokach zamiast poręczy i miękkim oparciem. [przypis edytorski]

do mej pracowni. Myślałem, że może który ze znajomych chciał mi wypłatać figła, lub że Janowi przysłała ochota uraczenia mnie tym ułamkiem sztuki. Lecz wszelkie dochodzenia spełzły na niczym; każdy wzruszał ramionami i patrzył na mnie jak na szaleńca.

Poddałem więc szczególny nabytek dokładnej obserwacji i po jakimś czasie doszedłem do przekonania, że gdzieś już widziałem ten ułamek o tragicznym rzucie głowy. Przed kilku laty, przechodząc koło starego parku w odległej dzielnicy miasta, spostrzegłem w głębi, na półrozwalonym piedestale silnie zwietrzały posąg bez rąk, ledwo trzymający się podstawy. Robota wpadła mi jednak w oko i zrobiła wrażenie. Jakiś czas nawet nosiłem się z myślą przeniesienia go na paletę. Potem zapomniałem najzupełniej.

Prawdopodobnie tedy w chwili samousypiania, w tym ostatnim momencie, który rozgranicza jawę od snu, przemknęło mi w myśli wyobrażenie posągu, połączone może z chęcią sprowadzenia go do siebie. Tę ostatnią, niemal już pod progiem świadomości zrodzoną myśl zaciągnąłem ze sobą jak niewód² w mglistą topiel snu, gdzie drogą auto-sugestii przemieniła się w nieprzeparty rozkaz. Poszedłem i przyniosłem.

O tożsamości posągu przekonałem się podczas jednej z przechadzek, którą umyślnie odbyłem wkrótce potem w kierunku wspomnianego parku. Zostałem tu wszystko tak jak przed laty; lecz w miejscu, na którym stał niegdyś zdefektowany tors, obecnie sterczał nagi, ogołocony postument; tylko paprocie, wybudawszy wysoko ponad brzegi, otuliły go zielonymi splewami, jakby zakrywając ze wstydem bielejącą nagość.

Do dziś dnia nie mogę przecież zrozumieć, w jaki sposób przeniosłem ciężki, kamienny kadłub z parku do pracowni: zaprawdę potrzeba było do tego sił olbrzymia. Działał tu chyba jakiś wściekły, bezwzględny nakaz wnętrza, jakiś kategoriyczny imperatyw, wobec którego nie ma namysłu ni wahania; wszystkie siły zestukratniają się, wszystkie ścięgnię prężą w szalonym wysiłku, by zaspokoić, wypełnić coś, co żarzącymi głoskami wypaliło się we wnękach duszy; dźwiga się jakaś niesamowita, nerwowa moc i pędzi na łeb, na szyję, przez debry³, wykroty, łamie, druzgoce, wali w proch do stóp swych wszystko, co staje na zawadzie i dopina celu zziajana, krwią ociekła, lecz triumfująca...

Co mnie jednak najbardziej zaniepokoiło przy tym dziwnym zdarzeniu — to przypuszczalne rozrastanie się do rozmiarów wewnętrznego nakazu owej ostatniej, może całkiem przelotnej myśli w chwili zasypiania. Wszystko zależało od tej ostatniej, niemal w przedśmionku snu wałęsającej się myśli...

Podniosłem się ciężko z posłania i zacząłem ubierać się. Po chwili zauważyłem ze zdumieniem, że wdziałem ubranie wizytowe zamiast zwykłego, które noszę codziennie. Czyżby mi Jan przygotował je umyślnie na dzisiaj? O ile sobie przypominam, nie wydałem mu żadnych specjalnych instrukcji, a wczoraj u nikogo z wizytą nie byłem. Być może więc uważał, że moje codzienne szaty już zbyt wytarte i nie wypada mi się w nich pokazywać nawet w „budny”⁴ dzień. Już to w ogóle postępował sobie ze mną dość samowładnie. Pocziwina!

Byłem cały tak „zbity”, że nie chciało mi się ponownie przebierać, i włożyłem mój świeżo wykończony, czarny jak kruk tużurek⁵.

Było mi jakoś nieswojo: jakieś trudne do określenia uczucie niechęci czy wstrętu nurtowało we mnie od chwili zbudzenia się; w ustach rozpanoszył się gorzki obrzask obrzydzenia.

Przeszedłem się parę razy po pokoju dla otrząśnięcia się z przykrych sensacji i odzyskania równowagi. Raz, mijając zwierciadło, mimo woli spojrzałem w głąb i przeraziłem się: byłem trupio błydy, oczy błyszcząły mi jakimś podnieconym, fosforującym blaskiem, a ręce wykonywały szczególne ruchy. Przypatrzyłem im się z uwagą: wyciągałem je na poziomie bioder równolegle naprzód po jednej linii, potrząsając nerwowo palcami, z których zdawałem się coś opuszczać. Mogłem się zresztą przychwycić na tym tylko na krótką chwilę, bo zauważywszy to, prawie gwałtem opanowałem się, wsuwając ręce do kieszeni. Czyżby nerwowe delirium?...

²niewód — ciagniona sieć rybacka złożona z stożkowatego worka (matni) i dwóch długich skrzydeł. [przypis edytorski]

³debra (daw.) — zarośla; jar, parów. [przypis edytorski]

⁴budny (ros. будни) — dzień powszedni. [przypis edytorski]

⁵tużurek (z fr.) — rodzaj surduta; element męskiego stroju popularny na przełomie XIX i XX w., pełniący rolę dzisiejszej marynarki, ale sięgający do połowy uda. [przypis edytorski]

W sionce odezwało się charakterystyczne pochrząkiwanie i cmokanie z fajeczki: Jan wracał z pogawędki. Jakoż po chwili wszedł niezupełnie znać⁶ zadowolony ze mnie.

— No, przecież się pan raz pozbierał! Słyszane rzeczy: spać po południu! Dobudzić się nie mogłem. Było tu jakieś panisko długie, chude jak śmierć. Coś gadał o obrazach. Mówiłem, że pan śpi, żeby przyszedł później. Nie chciał ustąpić. Więc zacząłem pana trochę i ruszać, ale nie pomogło. Żelazny sen Pan Bóg tej nocy zesłał, kamienny sen.

— Ma Jan słuszość. Spałem jak zabity. Ale po co u licha zmienił mi Jan ubranie? Przecież nie prosiłem wczoraj o to.

Stary popatrzył na mnie zdumiony, widocznie teraz dopiero spostrzegając, że jestem w wizytowym tużurku.

— Ja, zmieniać? A dalibóg, to pan już całkiem chyba tego... — tu zrobił przejrzysty znak na czole. — Wyczyściłem tylko to, co znalazłem rano na krześle. Musiało leżeć nowe, to i jest nowe.

Przerwał, coś sobie przypominając.

— Niech no pan poczeka; coś sobie przypomnę... zaraz... zaraz... Aha, tak... a juści tak. Wczoraj wieczór, najakuratniej pamiętam, miał panisko tamto, codzienne, z aksamitną kurtą. A jakże, żebym tak zdrów był. Nic innego, tylko pan sam przed spaniem tamto schował, a inne na dziś położył i zapomniał.

Mówił spokojnie jak zwykle, swym serdecznym, dobrotliwie zrzedzającym tonem. Lecz oczy jego chwilami spoczywały na mnie z pewnym zdumieniem, jakby czymś zaciekawione.

— No dobrze już, dobrze. Tak, tak, musiałem widocznie sam przemienić ubrania, choć nie wiem dziś po co. Proszę o śniadanie. Dzienniki są?

— A jakże. Właśnie chłopczyko przyniosło. Jakiś tam nadzwyczajny dodatek, telegram, lichy wie co, wsunął mi w łapę. Wziąłem, bo może pan ciekawy. Zaraz przyniosę wszystko.

W parę minut potem dymiła już na stole kawa, rozwierały zapraszająco swe łamy dzienniki.

Wypiłem kawę i zapaliwszy papierosa, zabrałem się do odczytywania dzienników. Nawinał mi się pod rękę ów nadzwyczajny telegram, wybity wyjątkowo wcześniej, bo jeszcze przed wydaniem porannym. Na czele rzucał się w oczy tłustym drukiem tytuł sensacyjnego wypadku:

„Tragiczna śmierć hrabianki W. S.”

Z zasady pogardliwie pomijam wszelkie artykuły z zakresu kryminalistyki; nie lubię krwawych, szpitalnym lub morgą⁷ zalatujących wrażeń. I tym razem chciałem już odłożyć tę nadzwyczajność na bok, gdy przelotny rzut oka na czerniejące rzędy liter zatrzymał się na jednym wyrazie. Była nim nazwa pewnej podmiejskiej miejscowości, z którą łączyło mnie parę odległych wprawdzie, lecz dość silnych wspomnień.

Podjąłem wzgardzony telegram i przeczytałem następującą, zresztą zwięźle podaną wiadomość:

„Dziś w nocy na »Wygnance« zaszedł dziwny, tragiczny wypadek. Nad ranem w jednej z komnat »Czerwonego Zamku«, dziedzicznej własności hrabiów S., znaleziono zwłoki dwudziestoletniej hrabianki Walerii. Śmierć nastąpiła wskutek celnego ciosu, zadanego w serce puginałem⁸. Innych ran ani obrażeń na ciele dotąd nie stwierdzono. Sprawa przedstawia się ciemno i tajemniczo. Obszerniejszych wiadomości udzielimy w numerze porannym”.

Jak już nadmienilem, uwagę moją zatrzymała na sobie nazwa miejscowości. Była nią wspomniana „Wygnanka”, rodzaj przysiółka czy podmiejskiego folwarku, oddalonego od miasta niespełna milę⁹. W okolicy tej byłem wprawdzie raz tylko w życiu, lecz doznałem

⁶znać (daw., jako przysłówek) — widocznie, najwyraźniej, zapewne. [przypis edytorski]

⁷morga (daw., z fr. *morgue*) — kostnica; dawniej ciała zmarłych przechowywano przed pogrzebem w domach mieszkalnych, w budynku kostnicy wystawiano zwłoki osób niezidentyfikowanych w celu ich rozpoznania. [przypis edytorski]

⁸puginał — sztylet; krótki miecz. [przypis edytorski]

⁹mila — dawna miara odległości o różnej wartości; mila rosyjska wynosiła ok. 7,5 km. [przypis edytorski]

wtedy tak silnego wzruszenia, że złączenie jej nazwy z sensacyjnym wypadkiem skłoniło mnie do wglądnięcia bliższego w sprawę.

Z „Czerwonym Zamkiem” łączyło się wspomnienie przepięknej kobiety widzianej raz przed laty. Byłaby nią właśnie tragiczna ofiara ubiegłej nocy?

Podjąłem z kolei numer poranny, chcąc dowiedzieć się czegoś bardziej określonego. Oto, co znalazłem:

„Tajemnicza zbrodnia!

Okropny wypadek, który zaszedł dziś w nocy ze środy na czwartek w »Czerwonym Zamku«, nosi na sobie piętno czegoś tajemniczego. Po bliższym zbadaniu sprawy wykluczono możliwość samobójstwa; panna Waleria S. padła ofiarą jakiejś mściwej, zbrodniczej ręki. Świadczą o tym następujące, dreszczem grozy przejmujące fakta.

Gdy dziś nad ranem, koło godz. 8, pani Maria S. po jednodniowej nieobecności powróciła do zamku, zastała u bramy wjazdowej niemal całą służbę w trwożnym pomieszeniu; twarze wszystkich zakłopotane z tajonym wylękiem patrzyły w oczy pani. Pani S., tknięta przeczuciem, zapytała o zdrowie ukochanej córki Walerii, którą pozostawiła wyjątkowo w domu. Wtedy wystąpiła w imieniu innych stara piastunka, Nastusia, oświadczając z drżeniem w głosie, że panienka albo zasnęła, albo, co nie daj Boże, zasłała; dotąd bowiem z sypialni nie wyszła, chociaż wczoraj wieczorem zapowiedziała, że wstanie wcześniej, by powitać matkę. Budzić nikt dotąd nie śmiał, zresztą panienka onegdaj zamknęła się od wnętrza, a dostać się do pokoju inną drogą nie można.

Zaniepokojona pani S. natychmiast pośpieszyła na górę i zaczęła gwałtownie potrząsać klamką od drzwi sypialni córki. Gdy po kilku podobnych próbach z wnętrza nie odpowiedziano, zaleciwszy zupełne milczenie, przyłożyła ucho do wlotu klucza, nasłuchując oddechu śpiącej. Lecz wewnątrz panowało głuche milczenie. Wtedy przerażona kazała bezzwłocznie wyważyć zaryglowane podwoje. Po wejściu do środka pierwsze spojrzenie skierowała pani S. na łóżko córki. Oto jaki widok przedstawił się oczom nieszczęśliwej, jak gromem rażonej matki:

Pod kołbiercem białych lilii leżała na wznak z rękoma złożonymi jak do modlitwy Waleria. W piersi, w okolicy serca, tkwiła rękojeść puginału; spod kwiatów, na kołdrze, rąbku koszuli na piersiach i białym wełnistym dywanie przegłędały skrzepłe plamy krwi. Nieszczęśliwa zdawała się spać: przyknięte oczy, twarz cicha, bez rysy bólu nadawały jej wygląd pogrążonej w głębokim spoczynku. Lecz serce przesyte stałą nie biło: w łożu był trup.

Zawiadomiony telefonicznie przez odchodzącą niemal od zmysłów matkę urząd policyjny wysłał na miejsce zbrodni komisarza i rzeczoznawców. Jak wykazała ekspertyza lekarska, zginęła p. Waleria wskutek niezwykle celnego ciosu zadanego sztyltem długości 1½ dm w prawą komorę sercową. Udar był silny — puginał zanurzył się po rękojeść. Najprawdopodobniej śmierć nastąpiła momentalnie, bez przebudzenia się ofiary. Świadczą o tym zamknięte oczy i pogodny wyraz twarzy.

Rzeczoznawcy utrzymują, że zamachu dokonano już po północy, między godziną drugą a trzecią nad ranem.

Z kolei przystąpiła policja do poszukiwań za zbrodniarzem. Tu od razu napotkano na niezwykle trudności. Przede wszystkim wysunęła się na plan pierwszy kwestia motywów. Rabunek, chęć zysku są stanowczo wykluczone; w sypialni jak i w całym zamku wszystko znaleziono nietkniętym. Więc chyba zemsta lub zazdrość. Tu wyłoniło się pytanie: czy sprawcą zbrodni jest kobieta czy mężczyzna? Pytanie, na które dotąd nikt nie zdołał dać stanowczej odpowiedzi. Zmarła była kobietą niezwykle urody; musiała mieć bez wątplenia wiele nieprzyjaciółek, budzić niejednokrotnie chęć współzawodniczenia wśród mężczyzn.

Zrazu sądzono, że do orientacji pomogą lilie, pod którymi znaleziono zwłoki: szczególnie dziwny, pełen ponurej, cmentarnej poezji. Lecz tu sprawa utknęła bez wyjścia; większość uznała go za przebiegły środek, użyty dla zmylenia pościgu. Może przyszłość użyć lepszych wyjaśnień. W ogóle podnieść musimy, że poprzez całą tę grozą ziejącą tragedię »Czerwonego Zamku« przewija się rys niesamowity i zagadkowy.

Nie wiadomo przede wszystkim, w jaki sposób sprawca mordu dostał się do komnaty sypialnej p. Walerii. Jak zeznała w śledztwie matka, zastała nad ranem sypialnię zaryglowaną od wewnątrz. Wyjeżdżając bowiem, kazała córce zamknąć się na noc, izolując ją w ten sposób od służby śpiącej na dole w czeladnej¹⁰. Obok sypialni ciągnie się długi szereg sal stojących pustką od czasu śmierci pana domu. Zajmują je chyba krewni w czasie rodzinnych zjazdów. Lecz w ostatnich dniach nikogo z przyjezdnych nie było; tylko w pokoju sąsiadującym z sypialnią pań zamku spała krytycznej nocy pokojowa p. Walerii, Małgorzata, która utrzymuje, że nic podejrzanego nie słyszała. Wejścia innego nie ma, okna znaleziono rano pozamykane jak onegdaj wieczorem. Przypuściwszy nawet, że zbrodniarz jakimś dziwnym sposobem, może w porozumieniu z kimś ze służby, wnął się do wnętrza zamku, staje się przed nierozwiązalną zagadką, jak dostać się przez zaryglowane drzwi lub zamknięte okna do sypialni bez wywołania łoskotu i obudzenia nim ofiary.

Miejmy jednak nadzieję, że sprawność naszych agentów¹¹ wkrótce wprowadzi władze na właściwy trop i rzuci jaśniejsze światło na mroczną aferę. Szczegółowe streszczenie śledztwa podamy w numerze wieczornym”.

Przeczytawszy dość pobieżnie to *résumé*¹² dochodzeń, obróciłem stronicę dziennika, by przypatrzeć się podobnie zamordowanej, którą umieszczono nieco dalej.

Wystarczył mi jeden rzut oka na twarz ofiary, by przekonać się, że podejrzenia me co do jej identity były najzupełniej uzasadnione: p. Walerię znałem; była nią ta sama kobieta, którą przed dwoma laty ujrzałem na krótką chwilę, by się już więcej w życiu z nią nie spotkać. A jednak silne wrażenie, jakiego wtedy doznałem, pozostawiło ślad niezatarty.

Był nim obraz natchniony widokiem tej idealnie pięknej kobiety, wykonany wkrótce potem w przeciągu kilku godzin wytężonej, twórczej pracy. Kreacja ta była dla mnie wyzwoleniem: po skończeniu obrazu odetchnąłem, zrzucając zmoreę smutku od czasu pamiętnego zdarzenia, i zwróciłem się ku pogodnym, bachicznym¹³ pomysłom. Pamięć Walerii poczęła przesłaniać się powoli coraz gęstszym woalem, że cała przygoda w końcu wyglądała na przelotną wizję. Dziś pod wpływem strasznego jej zgonu wspomnienia odżyły, budząc dawno przebrzmiałe echa.

Podniosłem stopy i usiadłem pod oknem, zacząłem jak najdokładniej przestudiować wizerunek zdjęty na miejscu zbrodni. Rycina była wykonana doskonale. Chociaż nieszczęśliwej nie widziałem już od lat dwu, rysy jej oddane z przedziwną wiernością nie pozostawiały ani cienia wątpliwości. Była to ta sama anielska twarz przypominająca subtelnością rysunku ascetyczne, jak z wosku niepokalanej białości wycięte owale świętych dziewic, to samo chłodne marmurowe czoło z charyzmatem niezmaconej pogody. Z tym wyrazem twarzy dziwnie zestrajał się ubiór głowy i tło atlasowej poduszki, które wskutek szczególnego ułożenia fałdów i zgięć utworzyły dookoła jak gdyby szeroki biały kornet. Dłonie skrzyżowane cicho na piersi dopełniały obrazu tej dostojnej, przezystej śmierci. Wyglądała na świętą zakonu, radosną wyzwoleniem z grzesznej ziemi, uśmiechniętą do rozkoszy nieba.

Spała bez troski pod całunem lilii, co jak symbol jej niepokalanej duszy wieńczyły swą siostrę poślubioną Bogu. Nad nią, gdzieś u wezgłowia, szukało oko promieniejących szczęściem aniołów dotykających różnymi ustami warg, których nikt dotąd nie całował...

¹⁰czeladna (domyślnie: izba) — izba przeznaczona dla czeladzi, tj. dla służby. [przypis edytorski]

¹¹agent (daw.) — agent. [przypis edytorski]

¹²résumé (fr.) — streszczenie. [przypis edytorski]

¹³bachiczny — żywiołowy, radosny, hulaszcy, rozwiązy, taki jak w kulcie Bachusa, rzymskiego boga wina i płodnych sił przyrody. [przypis edytorski]

Powoli poprzez natłok przypuszczeń, kombinacji, domysłów wydarło się silne jak śmierć, nieukojone pragnienie zwiedzenia miejsca zbrodni. Szalona jakaś ciekawość wlokła na ponury teren nocnego uczynku, pchała do rozpatrzenia sytuacji.

Zrzuciłem lekkie, sukienne ciżmy i sięgnąłem po trzewiki pod otomaną. Jakież było me zdumienie, gdy zamiast zwykłych, spacerowych, wydobylem nowe, przed kilku dniami nabyte lakiery. Wściekły, odrzuciłem je precz i gwałtownie otworzyłem szafkę nocną, w nadziei, że tam znajdę me codzienne obuwie. Lecz poszukiwania były bezskuteczne, bo trzewików nie znalazłem. Zrezygnowany więc, nie chcąc tracić czasu na dochodzenia, wdziałem wzgardzone lakiery i wyszedłem z domu drzwiami od strony ulicy, zamknąwszy mieszkanie na klucz.

W pół godziny potem byłem na trakcie, co długą białą wstęgą snuł się ku „Wygance”.

Było koło trzeciej i słońca złote żary roztopiały się z wolna w dościgłe, ze znojów rana wylęgle ciepło popołudnia.

Małowiczność krajobrazu podniesiona grą słonecznych promieni sprawiała wrażenie rozbieżne z tym, czego by należało się spodziewać; wszystko witałem jako rzeczy przykro rozpoznane, wszystko wracało niemile znajomym¹⁴. Uwierało przy tym uczucie fałszywego oświetlenia: było przejęskrawione i stąd jakieś inne, niewłaściwe. Zacząłem dobierać w wyobraźni innych naświetleń, by rzeczom przywrócić „właściwy” nastrój i duszę. I tak niespostrzeżenie żółtoczerwone smugi, którymi słońce zasłało skiby łąków, powoli zbladły, zblękitniały, by wreszcie rozblęsnąć srebrnozieloną poświatą księżycą. Świat ściemniał na chwilę, sposepniał na granat, by znów roziskrzyć się światłem białej, miesięcznej¹⁵ nocy.

W jakiejś chwili chód mój jak gdyby zmienił się; przestał być układem ruchów świadomej siebie woli, przybrał charakter czegoś drewnianego: zeszywniał; szedłem jak automat. Z wyprężonymi przed się rękoma szedłem naprzód, wskazując dłonią cel daleki drogi...

Po lewej ścieliły się zanurzone we mgłach otawisk¹⁶ łąny zbóż i poruszane wiatrem szemrały tajemnym pochrzęstem kłosów...

Po prawej ciągnął się stary, biały mur najpierw jakiegoś cmentarza, potem parku czy ogrodu, tworząc jedną, długą bez końca linię. Gałęzie kalin, przerzuciwszy się przez zmurszałe zręby, chwiały się na wietrze ciche, zwierając nocy smutek ogrojca¹⁷ śmierci. Delikatne witki wierzb kołysane letnim podmuchem oplakiwały na murach człowieczą smutną dolę. Cień jakiś skurczony przesuwiał się wzdłuż ścian, to w górę piał, to wydłużał, aż w sadzie znikł. Majaki mżyły na drapieżnej, z wapna odartej ścianie. Poznały mnie z daleka i znakami przyzwały do siebie. Poruszały się kłapiącym ruchem ich potworne zuchwy, zakrzywiały krogulczym szponem kosmate ręce, to znów biegły naprzód, zachęcając do naśladowania — złe, rozchichotane, nieuchwytnie...

Naraz coś pod nogami zagruchotało głuchym, dudniącym odzewem: szedłem przez most. Ten łoskot samotny wśród bezdennej ciszy świata był tak straszny, że zwinąłem się w opętańczej trwodze i zatkawszy uszy, zacząłem biec, by dłużej nie słyszeć. Nie mogłem znieść tego dudnienia; przypominało coś okropnego, było aż nadto dobrze znane, choć nieokreślone miejscem ni czasem.

Przebiegłem most, zapuszczając się w aleję topól.

Powiewały majestatycznie gibkimi wierzchołami, podając jedna drugiej wiatrową gawędę. Szeptwały podrzutem gałęzi, seplenily liści potrząsem. Po szczytach bajka szła, okropna baśń północy, z szumów drzew zrodzona.

Chwiejąc się na nogach, wybrnąłem z alei i stanąłem u wylotu. Noc znikła, zgasło upiorne światło miesięczne, pozapadały się łapczywe cienie: byłem pod zamkiem koło stawiska w ciepłe, słoneczne popołudnie.

Przetarłem oczy, niepewny, czy śnię, czy marzę, i puściłem się wzdłuż murów. Zamek z tej strony przedstawiał się stosunkowo najbardziej dostępne; zresztą zewsząd broniły go spadziste, kolczugą najeżone mury. Z gościńcem łączył go most zwodzony, który na noc

Wspomnienia

Strach, Wizja

¹⁴wracało niemile znajomym — dziś: wracało (jako) niemile znajome. [przypis edytorski]

¹⁵miesięczny (daw., poet.) — księżycowy; *miesiąc*: księżyc. [przypis edytorski]

¹⁶otawisko — łąka zarośnięta otawą (trawą wyrastającą po pierwszych sianokosach). [przypis edytorski]

¹⁷ogrojec a. ogórec (daw.) — ogród. [przypis edytorski]

cofano na bastiony. Tylko stąd od południa przerwany mur ustępował miejsca wspierającej się o bok grodziska położej¹⁸ ścianie.

Więc chyba tędy mógł morderca dosięgnąć połowy wysokości zamku. Lecz i tak pozostawała do pierwszego okna wielka przestrzeń zupełnie gładka, bez śladu wrębów.

Opuściłem głowę bezradnie, bijąc się z tysiącem domysłów. Nie pozostawało nic innego, chyba przypuścić, że zbrodniarz działał w stanie jakichś niezwykle wzmożonych zdolności, pod naciskiem nerwowej, wściekle ześrodkowanej siły, która pcha po gładkich jak szkło powierzchniach, utrzymuje w równowadze nad przepaścią, podnosi od zewnątrz zasuwę od okien, działa lekko, cicho, nieprzeparta, zajadła... Nie mogłem rozwiązać zagadki.

Zniechęcony, zwłaszcza po zauważeniu w pobliżu paru kręcących się indywiduów, które od chwili ciekawie śledziły moje ruchy, zawróciłem na gościniec i wkrótce przesuwałem się znów pomiędzy pierzejami topól.

Spokojne, wystale¹⁹ słońce przeglądało kolejną pomykającą w dal rzędy drzew, znaczyło chwile rzutami cieni. Gdzieś w dziupli dzieciół kował zapamiętałe, kukulka szczęście wróżyła. Złocista, nagrzana godzina piąta.

„Skąd wzięła się owa zmora miesięczna?” — myślałem intensywnie.

Najprawdopodobniej wczułem się głęboko w przypuszczalny stan duszy idącego na czyn zbrodniarza w nocy, przy księżycu i przeżyłem jego udękę. Plastyka i natężenie perypetii świadczyły tylko o mojej wrażliwości. Przebieg niby powtórzonych przeżyć mordercy opierał się co do joty na wynikach, do których doszedłem drogą analizy faktów podanych w dzienniku. Wszystko tedy na pozór było w porządku. A jednak w głębi nurtowały jakieś na pół świadome myśli zadające kłam wszystkiemu, bystre, logiczne, uparte.

Udawałem przecież, że wszystko na miejscu²⁰, i cieszyłem się spokojem niezmaconej powierzchni.

Rzeczywiście miałem już tego dość. Tragedia „Wygnanek” wciągała mnie zbyt osobiście w swe czarne wiry, że zachodziła obawa, bym się nie dał im wchłonąć. Ostatecznie pal licha wszystko! Co mnie to obchodzi? Należało z wolna wycofać się.

Lecz szczwana myśl krążyła po objazdach, zmierzając z ukosa do drażliwego punktu. Niepokój nieznośny zapuścił mi w duszę chłodne jak stal wzieniki i już, już zbierał rozpięchłe chwilowo oka matni, gdy wtem szczegół zewnętrzny skierował uwagę na co innego i ku mej głębokiej radości nie pozwolił dokończyć skojarzenia.

Zbliżywszy się na odległość paru kroków do fatalnego mostu, uczułem, że przejść go nie zdołam.

Obawa posłyszenia owego dudnienia, co głuchym wspomnieniem błąkało się w zaułkach mózgu, rzuciła mnie gwałtownie wstecz. Nie pozostawało nic, jak obejść go spodem.

Bez namysłu porzuciłem gościniec i zacząłem schodzić w rów, na szczęście zupełnie suchy. Zstępując po bujnie trawą zarosłym szkarpie²¹ spostrzegłem, że ktoś mnie w tym uprzedził. Darń była miejscami uszkodzona i zdarta i nosiła wyraźnie ślady obuwia powstałe z obsuwania się po zboczach.

Ponieważ rów był na razie suchy, ślady urywały się tuż pod szkarpem. Odkryłem jednak ciąg dalszy po zbliżeniu się na linię mostu, pod którym przewijała się rzeczka, ginąc dalej wśród niezmiernych obszarów nieużytków.

Więc ktoś również porzucił szosę tuż przed mostem. Szczególne! Może z tych samych powodów?

Ponętą ewentualność skłoniła mnie do dalszego śledzenia tropów. Dlatego, przeskoczywszy wąski pas wody, nie wróciłem już na gościniec, lecz zboczyłem w kierunku śladów. Przyjrawszy się im dokładniej, doszedłem do przekonania, że pochodziły od trzewika męskiego i były trochę szersze od mych lakierów.

Zrazu szły brzegiem rowu równoległe do gościńca, lecz wkrótce kierunek nagle się zmienił: trop skręcił w prawo między pola i nieużytki, znacząc się wyraźnie na gliniastym, wilgotnym podglebiu.

¹⁸połoj — pochyły. [przypis edytorski]

¹⁹wystaly — dojrzały. [przypis edytorski]

²⁰wszystko na miejscu — dziś raczej: wszystko w porządku. [przypis edytorski]

²¹szkarp — dziś popr.: skarpa. [przypis edytorski]

Widocznie nad ranem po pogodnej nocy spadł deszcz i przepoił ziemię: trakt wysechł rychło, gdy grunt niski, ilasty zachował dotąd utajoną wilgoć.

Chociaż droga tędy była ogromnie uciążliwa, przecież nieznamy nie wrócił na szosę, lecz brnął przez puste grząskie pola, bez ścieżek, miedz, drogowaskazów, jakby zautomatyzowany, w raz obranym kierunku.

Nie byłbym poszedł za jego przykładem, gdyby nie ciekawość, dokąd też zawiedzie.

Niebawem zastanowiła mnie niejednostajność linii; biegła to w prawo, to w lewo, uskakując dziko na boki, zakreślając dziwaczne zygzaki. Wreszcie utworzyła gwałtowny kabłąk, który obiegłszy szerokim kołem pole, powrócił do punktu wyjścia.

Miałem przed sobą ciekawą zagadkę. Albo był to ślad jakiegoś maniaka, lub też trop człowieka głęboko nad czymś zamyszonego.

Może uparta myśl, zatoczywszy kolisty obieg, stanęła znów u wrót znękanego mózgu; może wędrowca opętała fatalnie jakaś idea, nie wypuszczając go mimo wysiłków z błędnego koliska?

Stałem w jego tajemniczym środku i rzuciłem okiem przed siebie.

Z wolna zwinęta w kłębek linia rozprężyła się i popęzła chwiejnie naprzód. Opętaniec przeciął nareszcie magiczny krąg i wyzwalając się z trudem, podążył prosto odruchem woli. Jakoś falistość znaków nieznacznie wyrównała się, krok zmęźniał i z bezprzykładną chyżością zmierzał ku miastu.

Nie mogłem nadążyć tym nieludzkim skokom, które garnęły pod siebie parę metrów naraz; ten człowiek widocznie uciekał. Lecz nie spuszczałem go z oka i szedłem tuż za nim.

Było mi ciężko i z biedą podnosiłem nogi. Ilasty i na pół tylko podeschły grunt czepiał się obuwia, które też wkrótce pokryło się ceglastą gliną.

Byłem smutny.

Po znękaney głowie snuły się splątane gęstwy myśli, niby chmurne tumany mgieł pędzone biczami wichury; rozbłyskiwały i gasły jakieś ponure światła dźwigane w górę przez nieznaną rękę, zawodziły korowodne tany brzemienne mgławice, bliskie ciekłego spełnienia. Od czasu do czasu dreszcz zimny przebiegał te dżdżyste obszary, fałdując je w spazm bólu...

Na krańcach świata słało słońce ziemiom wieczorne pożegnania, radłac²² skiby koralowym krajem²³.

Z dali gwarzyło już miasto, konały przeciąglą skargą fabryczne syreny, wpierścieniały się w błękit dymy. Dźwięk mnie doleciał smętny, rozlewny... Poznałem. To trębacz grał na farnej²⁴ wieży hejnał ku czci Panny Marii. Poważna, czcigodna melodia...

Zacząłem rozglądać się uważniej po najbliższej okolicy. Trop, zdaje się, zbliżył się teraz ku straconemu już dawno z oczu gościńcowi. O ile mogłem się zorientować w położeniu, minąłem już linie podmiejskich browarów i zmierzałem od strony nieużytków ku miastu.

Szedłem z zapartym tchem, spodziewając się, że lada chwila kroki zбочą z pola i zawiną do którego domu.

Nagle zabiło mi serce.

Okolica wydała się bardzo dobrze znana; rozpoznałem tylne partie domów wychodzące na ogrody i sady.

Przyspieszyłem kroku z oczyma wпиты w dziwny trop, głuszac wrzawę nacierających wściekle myśli...

Wtem natknąłem na jakąś zaporę. Podniosłem oczy i ujrzałem się u furtki mego własnego ogródka. Gorączkowo otworzyłem i wszedłem do środka. Ślad wił się bez przerwy dalej, dobiegał samych drzwi mego domu.

Szarpnąłem drzwi. Były zamknięte.

Jakieś atomy dotąd rozpierchłe, porozrzucane jak opiłki żelaza, polaryzowały się z przekłętą chyżością porwane przez nadchodzący z dali prąd. Czulem już, czulem nieublagane zbliżanie się porządkującej bezład fali.

²²radlic — przeorywać ziemię radłem, prostym drewnianym narzędziem do spulchniania gleby. [przypis edytorski]

²³kraj — tu daw.: kraniec, brzeg, koniec. [przypis edytorski]

²⁴farny (daw.) — odnoszący się do fary, tj. kościoła parafialnego. [przypis edytorski]

Stałem bezradny czas pewien na progu, nie odrywając wzroku od śladów; wszystkie szły do domu, a dom był zamknięty.

Wtem rzuciłem spojrzenie nieco w lewo od wejścia i odkryłem nowe linie odcisków; jeden poczynął się u progu trochę dalej i biegł w głąb ogrodu, drugi jak gdyby wracał, po drodze krzyżując się z tamtym, i docierał z powrotem do wejścia, tylko całkiem z boku, tak że go zrazu nie zauważyłem.

Poszedłem za pierwszym w głąb. Wkrótce ślad skręcił koło rogu domu i podążał między klomby kwiatów.

Nagle zachnąłem się; trop kończył się przy ulubionym klombie białych lilii. Lecz moich jasnych kwiatów nie było — wszystkie wyrwała czyjaś straszna ręka; na środku sterczały tylko złamane łodygi.

— To on!

Gnało mnie do domu, do wnętrza. Nie szukając klucza, z szaloną siłą pchnąłem drzwi i wyważywszy z zawias, runąłem do środka.

Zacząłem na nowo czegoś szukać. Otworzyłem szafę, biurko, stół, przeglądałem wszystkie szuflady, skrytki, wpadłem do pokoiku Jana, przerzuciłem całe stosy rupieci, książek, bielizny. Nie znalazłem nic.

Przypadkiem wzrok padł na szerniałe drzwiczki pieca.

— Może tam?

Wyrwałem prawie blachę, chciwie zanurzając ręce w czeluść.

Nareszcie głęboko, głęboko natknąłem na coś twardego. Wyszarpnąłem, wydarłem... Było małe zawiniątko: trzewiki moje zawałane po kostki czerwoną glinką i moje codzienne ubranie z aksamitną kurtką.

Rozwinałem miękkie, zmięte...

— Tak! To ja!

...było zbluzgane krwią Walerii.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-niesamowita-opowiesc-na-tropie/>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Nowele*, Wyd. Literackie, Kraków 1980

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja dofinansowana ze środków Fundacji PFR. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć-Gryz, Aleksandra Sekuła, Patrycja Jóźwiak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.